

Musa Czachorowski

## Między stepem a wierszem

DOI: <http://dx.doi.org/10.12775/LC.2016.028>

\*

Selimowi Chazbijewiczowi

*Zmierzch w stepie przychodzi ukradkiem  
najpierw wydłużają się cienie  
kolory nabierają mrocznej głębi  
oddalają się twarze  
i naraz jakbyśmy się zapadli  
w obcość w samotność  
w nagłą bezradność wyobraźni*

*Szukamy wokół siebie na oślep  
wciąż bowiem czuć czyjąś obecność  
ciągle tkwi pod powiekami  
tamto światło  
które nas prowadziło  
ale już rozlała się ciemność  
i na próżno wołamy*

*nie odchodź*

*Ileż w tym mistycyzmu Selimie  
ile rozpaczy*

Między stepem a wierszem jest pole pamięci o ludziach i rzeczach; jest smak wydarzeń, ich barwa, zapach... Każdego dnia na nowo odnajduję się...

# W czasie. W przestrzeni

Gdzież jest moja pamięć, w której się przeglądam ... Gdzież jest pamięć, która mnie określa, dopowiada dzieje, miejsca i ludzi, wszystko, co stworzyło tę historię, ciąg zdarzeń, dawnych i bliższych, bezustannie się splatających, przenikających, uzupełniających. Gdzie w tym wszystkim mogę odnaleźć siebie samego, wrośniętego przecież w to drzewo, sięgające korzeniami pramroków, koroną zmierzające w nadchodzące świty.

Otom ja, krew z krwi dawnej, kość z kości przodków, a jednak inny, choć jednaki i niezmienny, opisany dawno wygasłymi ogniskami, tętentem końskich kopyt, zapomnianymi mogiłami z nierozpoznawalnymi już nagrobkami.

Otom ja – i krew z mojej krwi, kość z moich kości, moi synowie, ich synowie oraz synowie ich synów. Oto pamięć rzeczy, która niechaj trwa.

## **Wiecznie błękitne niebo**

*Urodziłem się w pierwszych dniach jesieni, gdy słońce grzało jeszcze mocno, ale czuć już było głodny oddech wiatru z głębi stepów. I to zostało mi do dzisiaj: lubię gorące słońce, lubię wiatr. Lubię otwierającą się przede mną przestrzeń i wiecznie błękitne niebo nad głową. Z miastem wciąż pozostaję na dystans.*

*Byłem dzieckiem i byłem chłopcem: raczej samotnym, raczej milczącym. Czasem szkolni koledzy wołali na mnie „Chińczyk, Chińczyk” albo też „ping-pong”, że niby głowę miałem okrągłą, a oczy wąskie i skośne. Pytałem się potem mamy: „Dlaczego tak mnie nazywają? Przecież nie jestem Chińczykiem...”. Częściej jednak mówiono „ty Mongole...”*

Jestem ... Często nocami powracam w dawne czasy i dawne miejsca. Idę, biegnę przez lata minione, tysiąclecia, eony – jakbym żył wciąż i wciąż, jakbym doświadczał tego wszystkiego, co niegdyś się przydarzyło, jakbym sam uczestniczył w tych wydarzeniach, a przynajmniej je obserwował. Najczęściej jednak czuję ból; ból ludzi, zwierząt i roślin; ból, który dopada mnie później w najbardziej nieoczekiwanych momentach i odbiera resztki świadomości. Wtedy znowu wyruszam w tę przestrzeń bezdenną, rozciągającą się od wiekuistości po wieczność. Zanurzam się w rzekę czasu, płynę razem z nią ...

*[...] urodziłem się i wiedziałem od razu, że jestem inny. Nikt mi tego nie mówił. Po prostu wiedziałem. Dziadkowie poumierali, gdy byłem zbyt mały, aby coś więcej z tego wszystkiego pojąć. Gdzieś zbiegły się drogi słowiańsko-tatarskie, skrzyżowały ze sobą, a ja przez całe lata starałem się rozeznac po tropach.*

Na początku było nie słowo, ale deszcz. Strugi wody, spływające z niebios, zalewające usta i oczy. Oczyszczające. Jednoczące z ziemią i powietrzem, z drzewami i kamieniami. Wypełniające przestrzeń obrazami ze snów. To był zawsze mój czas: czas samotnej wyobraźni, która przenosiła mnie w dowolne miejsca poza jakąkolwiek dotykalność rzeczy. Szedłem przez rozległe równiny, puste, zawsze puste, w bezustannym zimnym deszczu. Czegoś szukałem, coś – cokolwiek – pragnąłem napotkać, może kogoś zobaczyć – choćby z daleka – ale widnokres niezmiennie pozostawał obojętny na moje wołanie. Tak było ...

Wciąż widzę tego chłopca, dziecko jeszcze, wychodzącego na deszcz, zmokniętego i zmarzniętego, idącego polem, łąką, stepem – w dal. Donikąd... Może wciąż tam idzie...

### *Ziemia*

*Szliśmy powoli. Długie ostre trawy, kolczaste pędy roślin, których nazwy już dawno uleciały nam z pamięci, a może nigdy ich nie znaleźliśmy, wczepiały się w ubrania i rozdrapywały bezbronną skórę. Korzenie drzew oplatały stopy. Było cicho, tylko nasze przyspieszone oddechy wirowały w powietrzu, osiadając ciężko na siwozielonych brodach mchów. Tętnienie krwi wprawiało w drgania pękające bezdźwięcznie pajęczyny z wplątanymi w nie liśćmi i zeschniętymi owadami. Las stawał się coraz gęstszy, coraz rzadziej rozświetlały go promienie słońca. Powałone pnie były jak ciała olbrzymów.*

*Szliśmy tak długo, że czas przestał istnieć. Jediną istotną rzeczą stała się szorstka powierzchnia kory, ogromny głaz wrośnięty od stuleci w ziemię. Nawet my sami, nasza obecność tutaj, nic właściwie nie było już w pełni realne. Czas, jego bieg, powolne a nieuchronne upływanie: jakież to dziwne i odległe słowa.*

Dokąd doszedłem? Nie wiem, nie chcę wiedzieć... Chyba że dotarłem do sadu przed dziadkowym domem, do ścieżki wiodącej prosto w otwarte drzwi sionki. Biegnę... Za mną ulica wybrukowana kocimi łbami, po prawej stronie jabłonki, między nimi krzaki porzeczki, po lewej zagony ziemniaków. Wchodzę między drzewa, dotykam ich szorstkiej kory, gładzę liście... Zapach... Zapach jabłek i zapach lata, smak tych jabłek, sok spływający po brodzie, monotonne brzęczenie owadów... Kładłem się wtedy na rozgrzanym palącym słońcem spleśnionym trawie pomiędzy drzewami, zamykałem oczy i czułem się jak w raju. Senny, coraz bardziej senny, bezcielesny, wrastałem w ziemię najpierw włosami, potem dłońmi, ramionami, wreszcie stawaliśmy się jednością. Oddychałem niespiesznie razem z trawą, opadłymi liśćmi, żuczkami, mrówkami...

\*

*A przecież żyję  
w tym obcym krajobrazie  
choć często jeszcze  
wychodzę nocą z domu*

*I znowu w krótkich spodenkach  
biegnę powitać sad  
jabłonie garną się do rąk  
szeroko otwierają liście*

*Poznały mnie drzewa*

*Ścieżką od strugi  
niespiesznie nadchodzi dziadek  
jego laska  
ciężko godzi się z ziemią*

*I wszystko mija*

*Powietrze  
nie przepuszcza światła*

Ale jestem już w domu! Pokój pachnie... Czym właściwie pachnie? Pastą do podłogi, wiklinowymi fotelami, lawendą? Maciejką rosnącą pod niskimi oknami? Pewnie wszystkim po trochu. Najpiękniejszy jest jednak zapach drożdżowych bułek z serem, robionych wieczorem, wypiekanych nocą w chlebowym piecu pobliskiej piekarni. Babcia je robiła, kuzynki wynosiły na blachach, potem odbierały, a rankiem budziła mnie ta cudowna woń i nieodmiennie zaskoczony otwierałem wieko starego wiklinowego kosza, w którym na lnianych ściereczkach leżały sobie bułki, ułożone tam – do dzisiaj jestem o tym święcie przekonany – przez dobrą czarodziejkę. Babcię?

I jeszcze ten chleb, wielki okrągły bochen o ciemnozlocistej chrupiącej skórce. Pajda z masłem w jednej dłoni, w drugiej świeżo zerwany ogórek. Kromka posmarowana gęstą świeżą śmietaną i posypana cukrem... Chleb, po prostu chleb... *Chleb czarny, chleb biały – jedyna świętość, w jaką wierzę*: słowa zapomnianego już dawno poety, tkwiące – po co, na co – wciąż w pamięci. I słowa dziadka, gdy niefrasobliwie wyrzuciłem kawałek niedojezionej kromki chleba: „To grzech, wnusiu, chleba nie wolno wyrzucać. Podnieś, odmuchaj i przeproś Pana Boga”. Prosta prawda, prosta nauka, która pozostała we mnie na zawsze.

\*

*Wczoraj nocą  
odwiedził mnie dziadek  
stał w drzwiach  
milczał  
oczy miał jak ze szkła*

*odbijał się w nich dom  
biel popękanych ścian  
wpisana w czułą siatkówkę pamięci  
przed nim starzec i dziecko*

*później był tylko dom  
wznoszący się resztką sił  
ponad ramionami horyzontu  
i coraz większy cień*

*wreszcie została naga ziemia  
w którą wrastaliśmy obaj powoli  
po pas  
po szyję*

Za domem dziadków, za czyimś polem, niedaleko, rozciągała się łąka z przepływającą przezeń strugą. Bezkrzes zieleni, a nad nim błękit; gdy wpatrywałem się w niego dostatecznie długo, wtedy odlatywałem na mym skrzydlatym koniu, który paśł się pomiędzy pierzastymi obłokami. Pędziliśmy przez niebiański step, daleko, coraz dalej, poza czas, poza świat. Widzieliśmy Ziemię w pierwszych sekundach jej istnienia, wynurzającą się z odmętów niebytu, parującą, pulsującą, z żarzącymi się językami magmy. Przedzieraliśmy się przez gęstwinę żywych drzew, krzewów, owijających się wokół nóg, chwytających gałęziami za ręce, wołających „zostańcie tu, zostańcie...”; umieraliśmy z pragnienia usypiani przez śpiewające

piaski; galopowaliśmy w trzepocie rajszych ptaków, wśród rozbłysków strzał... I tak ciężko było wracać...

### ***Mój koń***

Amirowi Gismatullinowi

*Czasem śnią mi się konie  
tabun splątanych grzyw i kopyt  
Rozhukane prężą mocne grzbiety  
w oczekiwaniu na ciężar jeźdźca  
i niepohamowany pęd Ich oczy  
wypełnia dal Napinają się  
ściągną i mięśnie Drży  
tratowana ziemia*

*Niepokój ogarnia także ludzi  
siedzących jeszcze nieruchomo przy ogniskach  
Wokół nich rozlewa się z wolna  
wieczorna mgła Przynosi ze sobą  
zapach dojrzewającej krwi  
ostry lot strzał*

*Budzi mnie nagły krzyk*

*Gdzie moja szabla  
mój koń*

Zasypiałem zmęczony na tej łące, a sen mnie kołysał, unosił. I szedłem w nim, cichy i bosostopy, polnymi drogami, miedzami, bezdrożami. Ja – i przede mną cały świat, otwarty na przestrzał, na oścież, z zielenią topól splatającą się z błękitem, a może z błękitem zrastającym się z zielonością, z dmuchawcami i kaczeńcami, z zimną wodą strugi, w którą zanurzałem rozgorączkowaną twarz. Potem owiewał mnie wiatr i czułem w nim oddech stepu, zapach koni, może czyjś śpiew, może płacz... Wciągałem wtedy powietrze głęboko do płuc, smakowałem je, czułem każdym nerwem mego ciała, gdy rozlewało się wszystkimi żyłami i tętnicami, budząc w moim wnętrzu pradawny zew krwi.

\*

Jestem z innego świata  
urodziłem się na obcej ziemi  
wśród obcych ludzi  
choć znam ich język  
nie zdołałem jeszcze pojąć  
wieloznaczności słów  
wciąż wybieram najprostsze  
i tak bardzo boli  
gdy cokolwiek pokocham

moje życie to daleka kraina  
rozciąga się poza horyzontem  
gdzie wszystko jest milczeniem  
idę tam coraz szybciej

*niebo zalewa mi oczy*

Jaki więc byłem i jaki jeszcze będę, i skąd we mnie pamięć tylu najprzeróżniejszych rzeczy, powrastana w tkanki, zaszczerpiona w mięśnie... Trwam w nieprzerwanym łańcuchu istnienia, opisanym pulsowaniem stepu, dawno nieistniejącym sadem i wodą, czystą wodą z wyschniętego źródła. Poskładałem siebie ze strzępów światła, z echa słów rozbrzmiewających w bezsenne noce, z bezdźwięcznych modlitw przodków, z łaski Bożej, która od zarańcia świty rozpromienia. Jaki zatem jestem: ile we mnie tego, co z moich dziadów, ojców? Możem nie wszystko ustrzegł, ale wciąż pozostaję wierny tej przestrzeni, topolom i ciszy. Idę swoją ścieżką przez łąkę, nieopodal cmentarza i strugi...

### **Tylko**

*Coraz częściej powracam na płowoskóry step  
gdzie w zakolu rzeki  
rozkładają się białe skrzydła jurt  
Tam jest początek wszystkiego*

*Widzę chłopca śpiącego w trawie  
gniada kobyła wuja Nastka  
niesie go łąką  
między cmentarzem a strugą*

*Daleko stąd do ciepłego domu  
wołanie na obiad  
unoszą się w powietrzu i blednie  
nic tu nie słychać*

*Chłopiec śni łąkę i konia  
jedzie gdzieś wedle strugi  
i nie wie nawet jak bardzo się postarzał  
on i dom i ten koń*

*Nie ma właściwie dokąd jechać  
wszystko jest tak odległe  
że nic już nie słychać  
Tylko jeszcze ten step*

Urodziłem się w mieście pełnym ludzi ze wszystkich zakątków Polski, różnego pochodzenia i rozmaitej wiary. Moi rodzice także nie byli tutejsi: mama z Wielkopolski, tata – z Mazowsza. Oboje jednak z rodzin o tatarskich koneksjach. Ze strony taty to odwieczna drobna szlachta mazowiecka z tatarskim śladem z XIV wieku. W orszaku litewskiej księż-

niczki Danuty Anny, która poślubiła mazowieckiego księcia Janusza, był oddział tatarskich wojowników. Z czasem wrosli w mazowiecką ziemię, wżenając się w miejscowe rody, zakładając własne. Ponoć znajdował się wśród nich jeden z synów chana Tochtamysza, Czachar, brat Dżelal ad-Dina, dowodzącego tatarskimi oddziałami w bitwie pod Grunwaldem. Możliwe też, że był to tylko Czachar, wojownik z ułusu czacharskiego. Od niego zaś wywiodła się nazwa wioski, a od niej nasze nazwisko. Znajomy turkolog zasugerował natomiast, że nazwa wioski pochodzi od turko-tatarskiego słowa, oznaczającego łąkę, pastwisko. Byłbym więc może panem Łąkowym?

Rodzina mamy jest znacznie młodsza, bo wiążąca się z XVII-wiecznym osadnictwem jenieckim w Wielkopolsce. Tam, między innymi, osadzano na królewskich tatarskich jeńców z kampanii wiedeńskiej króla Jana III Sobieskiego. Przetrwały strzępy pamięci, niejasne opowieści, cechy fizyczne, a nade wszystko głęboka atawistyczna świadomość, poczucie odmienności. Wszystko to, i skąpe słowa dziadków, i obserwacje niezorientowanego jeszcze dziecka, i późniejsze dociekania, poszukiwanie śladów, podążanie po tropach przeszłości oraz własnej terażniejszości – wzmacniało się i zrastało ze sobą. Wreszcie wszystko trafiło na swoje miejsce. Odnalazłem się w czasie i przestrzeni, wśród cieni przodków, wśród ludzi tu i teraz. Jestem jak oni. Jestem nimi, oni są mną. Krew z krwi...

### **Miasteczko**

*Miasteczko liczy sobie lat tysiąc i trochę, zaś czasy jego świetności, jeżeli takie w ogóle były, minęły jakieś pięć wieków temu. Jedynym zabytkiem, jaki tu pamiętam, był chodzący po prośbie wujaszek, ubrany w starą mundurową kurtkę, obwiązany świętymi medalikami i sakwami. Pojawiał się nie wiadomo skąd, ładował do swych worów otrzymane od ludzi datki i znikał.*

*Straszyla mnie nim babka, gdy przekraczałem dopuszczalne normy dziecięcych wybryków. Jednak wiele lat temu wujaszek odszedł na zawsze, tak jak odeszła łagodna, wiecznie zatroskana babka, a przed nią dziadek, niepoprawny kawalarz i fantasta.*

*Jest jeszcze w miasteczku kościół, kino i mleczarnia, są dwie knajpy, dwie szkoły oraz dwa, może trzy niewielkie zakłady przemysłowe. Kiedyś był także zamek, którego resztki, o ironio, rozebrał pod koniec XIX wieku ktoś z mojej rodziny, aby spłacić – podobno – karciane długi. W ten oto sposób udało się nam wpisać w dziesięciowiekową historię miasteczka.*

*Po wielu latach nieobecności przywiozłem tam moich synów. Chciałem pokazać im jabłoniowy sad przed domem dziadków, powaloną przez wicher topolę, w której korzeniach miałem kryjówkę, i czyste rozlewisko strugi przepływającej łąką obok cmentarza.*

*Myślałem, że w dzień targowy pójdę z nimi na rynek, gdzie handluje się wszystkim, poczynając od zieleniny, na butach oficerskich skończywszy, a ciepły, swojski zapach koni kręci w nosie. Lecz żadnej z tych rzeczy już nie było: ani sadu, ani topoli, ani czystej wody. Nie spotkałem również Lenki, dziewczyny z ulicy Ślepej, z którą, trzymając się za ręce, chodziliśmy po mleko z wieczornego udoju. Wszystko to trwało jedynie we mnie.*

*Nie są chyba możliwe powroty do miejsc istniejących wyłącznie w pamięci, ale szliśmy tą samą drogą, którą chodził mój ojciec, jego ojciec i ojciec jego ojca. Rozmawialiśmy z ludźmi, którzy znali mnie od dziecka i których ja znałem. Wchodziliśmy w otwarte drzwi domów, pełnych bliskich, serdecznych osób. Skłoniliśmy głowy przed rodzinnymi grobami.*

*Ileż razy wspomnienia o miasteczku były dla mnie źródłem siły i balsamem. Stanowiły i nadal stanowią moją wyłączność, będąc jednocześnie dowodem tożsamości, istnienia w ciągłości określonej dawno wyciętym sadem, niegdyś rosnącą topolą, mogiłami. Łączą mnie z pozostałą w miasteczku rodziną, z ziemią wydeptaną przez pokolenia.*

Moi synowie urodzili się w dużymi mieście. Znają betonowe budynki, asfaltowe drogi oraz smród spalin. Ich ziemia to trawnik i park. Są bezimienni w tłumie. Co będzie kiedyś świadczyć o nich: kwaterunkowe mieszkania, czy kwity opłat za gaz? Skąd będą mogli zaczerpnąć siły i co przekażą swym dzieciom? Nie wiem, nie wiem ...

Zrobiłem jeden krok w stronę mego dziedzictwa, a ono zbliżyło się do mnie o tysiąc-kroć więcej. Czulem obecność Najwyższego, która sama z siebie, we właściwym momencie, ogarnęła moje serce i duszę, stając się tak naturalną i niezbędną do życia jak powietrze. Biegłem, często donikąd, ale droga sama mnie odnalazła, poprowadziła tam, gdzie zawsze było moje miejsce. Czekają, jeszcze zanim się urodziłem. I wreszcie znalazłem się wśród ludzi, takich jak ja. Mówimy jednym głosem, czujemy tę samą radość i ten sam ból. Jednakową modlitwą zwracamy się do Boga, jednakowymi słowami odprowadzamy się w ostateczną podróż.

Jestem ... Jestem.

\*

Irwinowi St. Emirowi Czachorowskiemu

*Pochowaj mnie w stepie wnuku  
wśród tatarskich koni  
z ich dumnymi niegdyś grzywami i ogonami  
o twardych jak glazy kopytach  
tam gdzie kolejną wiosną  
tabuny ruszają na świeże pastwiska  
abym mógł bezustannie wędrować  
wciąż mi mało tego stepu*

*moje serce pozostaw w Solecznikach  
i zakop pod krzakiem oblepichy  
pokaże ci go twój tata  
a twoja mama zrobi dla ciebie  
dżem z jej owoców  
posiędziesz wtedy  
całą moją tęsknotę i pamięć  
bo niczego więcej  
już nie posiadam*

Musa Czachorowski